XXII. Kraków, 15 sierpnia 1919 r. Nr. 16.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 kor. 40 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



Za darmo żyją ptaki,
Za darmo rosną drzewa,
A polne lilie przecie
Już Pan sam przyodziewa!

Lecz są i lilie w mieście,
Mam dla nich respekt winny,
I te „pan" przyodziewa,
Pan, ale ciągle inny!

Numer pojedynczy 2 kor. — 1 Mk. 70 fen.

Od Administracyi.

Z powodu strejku drukarzy i ponownego podrożenia papieru oraz wszelkich materyałów drukarsko-technicznych jesteśmy zmuszeni podnieść prenumeratę „Bociana“.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	K 45·60	Mk 29 80
Półrocznie	„ 22·80	„ 14 90
Kwartalnie	„ 11·40	„ 7 45
Pojedynczy egzemplarz	„ 2·—	„ 1 30

Coś z czeskiego.

Przed rokiem, podczas bankietu urządzonego na pożegnanie Czechów z Krakowa się wybierających, deklamowała ówczesna artystka krakowskiego teatru, pani K. bardzo pięknie, to też obdarzono ją taką burzą oklasków, iż zmuszoną była dodać coś nad program.

W trzy dni po owym bankiecie ukazała się w jednym z czeskich dzienników w Pradze korespondencya z Krakowa, opisująca szczegółowo wspaniały bankiet na cześć Czechów, jaki się odbył w Krakowie, korespondencya napisana przez jednego z obecnych na bankiecie gościa Czecha, w której wspomniał także o pannie K.

Po czesku wypadła ona tak:

„Sleczna K. szpulkowala nie obyczajnie!“ Co miało znaczyć na polskie, że panna K. deklamowała nadprogramowo. Nie ma co mówić! Ładny język!

Złośliwy.

Na Błoniach spotyka facet swego szewca idącego z dwiema córkami i rzecze do swego towarzysza:

— To mój szewc nadworny, a ta jedyna para jego roboty, która nie jest dla mnie za ciasna, ani za obszerna!... Akurat w sam raz!...

Drożyzna mięsa.

Opłakane są stosunki
Podrożenia mięsa,
Dziś przeciętny obywatel
Ledwie się wałęsa.

I przeklina ze słusznością
Szalone wydatki,
Pożądliwem okiem patrząc
Na rzeźnicze jatki.

Ten pryk stary, który lubiał
Nadewszystko mięso,
Dzisiaj z żalu tabes dostał,
Nogi mu się trzęsą.

Panna z biustem, jak u Wenus,
I figurką cudną,
Widzi z żalem, że gors niknie
I łydki jej chudną.

Dni okropne nawiedzały
Gród sławetny Kraków,
Dni zabójcze dla zamożnych
Jak i dla biedaków.

Dla filistra libertyna,
Kokot impotensa,
Wszystko z złego odż wiania,
Wszystko z braku mięsa!

Zanim więc głodową śmiercią
Krakowianin zczeźnie,
Trza dla kotów, psów i szczurów
Pozakładać rzeźnie.

I tam wszyscy, którzy dzisiaj
Pustym brzuchem trzęsą,
Będą się zaopatrywać
W tanie, zdrowe mięso.

Z wykładów naszych znakomitości.

Marya Teresa rozłożyła się wzdłuż granicy Śląska, a Fryderyk uderzył ją w samo centrum...

⊙ ⊙

Królowej doniesiono, że *Napier działa* skutecznie na Bałtyku.

⊙ ⊙

Po bitwie pod Lipskiem widziano na pobojowisku biegające konie, ktorym ustrzelono jedną, dwie, trzy, a nawet cztery nóg i więcej.

⊙ ⊙

Nosorożec, moi panowie, jest stworzeniem bardzo głupiem i dlatego właśnie nazwali go Niemcy „rinoceros“...

⊙ ⊙

Kropla tego płynu, wtarta na język psa, zdolną jest zabić najsilniejszego człowieka, o czem każdy z kochanych panów łatwo sam na sobie przekonać się może...

⊙ ⊙

Święty Jan pisze w swej Apokalipsie, że „w niebie panowała cisza przez pół godziny“, co jest jasnym i niezbitym dowodem, że w niebie brak kobiet. Żadna z nich tak długo nie potrafiłaby wytrzymać bez szkody dla swego zdrowia.

⊙ ⊙

Literatura ukraińska dzieli się, jak wiadomo, na trzy okresy. W pierwszym nie było nic, w drugim co było, zaginęło, w trzecim niema jeszcze nic...

Między kokotami.

— Ciekawa jestem, jaki związek mogą mieć twoje reformy z kolacyą w separatce?

— Nie wiesz jaki?... Zaraz ci powiem!... Z zapinaniem i odpinaniem przy każdem daniu tyle jest zawsze kłopotu, a ci mężczyźni, zwłaszcza starsi, trzęsą się wtedy z niecierpliwości... Każda minuta jest dla nich droga, jak gdyby się obawiali, że potem może być zapóźno!..

— Święta prawda!... Nieraz byłam już w tem położeniu!...

Poznali się na artyście

Nie chciałem uwierzyć w przykazanie, że motłoch należy oszukiwać, bo on chce być oszukiwanym. Nie. Jeśli kto nie powinien oszukiwać, wyzyskiwać współobywateli, to my, malarze. Niektórzy z szanownych kolegów moich mają pasyą do pisania zer. Obraz, wartający w istocie 50 rubli, ustroją w dwa zera, trzy zera, cztery zera. To bagatela, obraz, warający 50 rubli zacenić 500 rubli, 5.000 rubli, 50.000 rubli. Nie tędy bracia droga. Rezultat tej drogi jest taki, na obrazie masz zera, a w kieszeni płótno. Precz z wyzyskiem. Postanowiłem za pracę moją żądać tylko tyle, ile ona w istocie warta...

Gdym po skończeniu studyów wrócił z Paryża, pierwszym klientem mej, w Warszawie otworzonej pracowni, był fabrykant sztucznego szampana.

— Bądź pan tak łaskaw zrobić nam etykietę na butelkę.

Zasiadłem natychmiast do pracy. Głupstwo. Dzięki tyloletniej, ogromnej pracy mam rutynę niesłychaną. Za godzinę etykieta była gotowa. Idę z nią do fabrykanta. Zażądałem za wykonanie etykiety tyle, ile godzina mego czasu w istocie warta.

— Oto żądana etykieta.

— Wspaniała! Wspaniała!

— Cieszę się bardzo.

— Ta śliczna etykieta będzie reklamą dla naszych win krajowych. Dziękuję panu, a zarazem pytam się, ile panu dłużen jestem?

Rzekłem z akcentem:

— Rubla.

— Co? Rubla? Jakto rubla?

— Tyle warta godzina mej pracy. Świstek papieru, kilka atomów akwarelowej farby.

Fabrykant się zastanowił. Wziął etykietę i zaniósł do sąsiedniego biura. Przez otwarte drzwi słyszę głosy:

— Wspaniała! Wspaniała!

— Śliczny rysunek winiety, barwny koloryt.

— Trzeba będzie za to grubo zapłacić.

— Owszem. Malarz żąda rubla.

— Jakto rubla?

— No, rubla.

— Cóż to za malarz?

— Nie wiem. Nie znam go bliżej wcale.

— Ja go znam. Wiem o nim to napewne, że jeśli on za swą pracę żąda rubla, to musi być ostatnim bazgraczem.

— Za obraz Mileta zapłacono milion franków.

— Obrazy Meissoniera sprzedawano po 500.000 rubi.

— A ten żąda rubla.

— To jakiś osioł. Pojęcia o malarstwie nie ma.

— Nie ma? A sam pan wołałeś o tej etykiecie: wspaniała! wspaniała!

— Wołałem. Ale ja się na sztuce nie rozumiem.

— Ale ja się rozumiem. Otóż ja, jako wspólnik firmy stanowczo protestuje przeciw przyjęciu i reprodukowaniu tej miernoty.

— Wołałeś pan: wspaniała! wspaniała!

— Bom się z bliska nie przypatrzył. Oglądając etykietę przytknąłeś pan nos do akwarel, nic dziwnego, że widziałem pański nos nie etykietę. Ale teraz widzę. Firma nasza zapłaci nie rubla, ale dziesięć rubli, sto rubli. Za dobre pieniądze będziemy mieć dobrą etykietę od dobrego malarza.

Szef firmy zwrócił się do mnie.

— Przebacz pan, ale z pańskiej pracy nie skorzystamy. Zwracam ją panu.

* * *

Wypadłem z fabryki wściekły. Pomsta! Oh pomsta! Ja się muszę zemścić na pospólstwie za to, co z moją sumiennością i uczciwą pracą zrobiło. Oni mi za pracę moją zapłacą, krwawo zapłacą. Porachuję się z nimi jak lichwiarz *Vulgus vult decipi?! Ergo decipiatur!*

Wrzało i dygotało wszystko we mnie, gdy w progi moje wszedł fabrykant sody.

— Urządzam teraz mieszkanie, mam obraz po ojcach i dziadach, chcę pana prosić, abyś mi stare płótno wyrestaurował.

Zasiadłem natychmiast do pracy. Głupstwo. Obrazowi nie brakuje nic. Warstwy wiekowego kurzu zamieniły się w błoto, wymyłem doskonale obraz wodą, przewerniksowałem białkiem z jaja, za kwadrans pra a ukończona. Ale do fabrykanta sody poszedłem nie za kwadrans, ale za pół roku.

— Oto wyrestaurowany obraz.

— Wspaniały. Jakby wczoraj go artysta malował.

— Pół roku mej pracy.

— Aż tyle?

Nie panie. Nie pół roku. Rok cały.

— Jakto rok? Przecież sześć miesięcy temu jak z brudnym obrazem byłem u pana.

— Ale ja pracowałem nad nim dniem i nocą. Jeśli pan dodasz pół roku dni i pół roku nocy, to będzie rok.

— A prawda. Ileż to kosztuje ta robota?

— 723 ruble.

Za głowę się fabrykant złapał.

— Matko Boska!

— Tak, tak, panie. 723 ruble.

— Za co?

Podparłem się pod boki.

— Pytasz się pan? Otóż to, to! Otóż to dowód jak się nasze społeczeństwo na sztuce rozumie. Otwarłeś pan gębę, gdym panu powiedział głupie 723 ruble.

— Czy to materyały tyle kosztują?

I czas mój i najznakomitszy materyał. Cały ten obraz jak pan go widzisz jest smarowany pastą do czyszczenia zębów, naparzany jest dymem z kosztownych ziół, na werniksowanie jego wyszło mi ośm litrów najprzedniejszej okowity.

— Opuść pan co.

Opuściłem fabrykantowi sody trzy ruble. Zapłacił. Dobrze mu tak. Dobrze im tak. Bo jeśli *vulgus vult decipi...*

Cześć!

Przyjacielowi, p. Zdzisławowi Cześcińskiemu, poświęca
Autor.

Cudzoziemskie pozdrowienia
Trzeba wreszcie znieść.
Żadne „serwus!“ albo „sługa“,
My mówimy: „Cześć “

Cześć talentom czy zasługom
Hasła tego treść,
Pięknym damom, zacnym ludziom
Powiadamy: Cześć!

Lecz chcąc kogoś wziąść na kawał,
Wykpić albo zwieść,
Mówi mój przyjaciel Zdzisław
Ironicznie: Cześć!

Gdy chórzystkę widzi ładną,
Chcąc w jej serce wleźć,
Krzyczy do niej na pół mili
Ulubione: Cześć!...

Prosisz go o papierosa,
Mówi: „Przestań pleść,
Dzisiaj tytoń jest zbyt drogi!
Absolutnie: Cześć!“

Przyjaciółka prosi: „Zdzisiu!
Chodźmy razem jeść.
— Co? Przed pierwszym? Oszalałaś?
Wyjątkowe: Cześć!...

Tak, masz racyę! Nowe hasło
Trzeba Zdzisiu nieść,
Zacnym, podłym, mądrym, głupim
Trąbić w ucho: Cześć!...

Zagadka.

Na ulicy stoi,
Nikt się go nie boi?

(Policyant.)

Z tajemnic pewnego dworu.

Młody gwardzista, pełniący służbę na korytarzu zamkowym, ujrzał wyglądającą przez okno jakąś osobę płci żeżskiej, jak to bardzo łatno można było poznać po sukni, w którą była przybrana.

Aczkolwiek była do niego zwrócona tyłem, z kształtów poznał, że to jedna z dam dworu, z którą łączyła go urzędowa i służbowa znajomość.

Zbliżył się więc na palcach i nie namyślając się długo, zaczyna jej prawić o swej miłości, nie mówiąc jednak ani słowa.

Ona czeka cierpliwie, rychło będzie koniec tych miłosnych wynurzeń, wreszcie odwraca się, a przerażony gwardzista widzi przed sobą cesarzową w swej własnej osobie!

Czyje, że zgubiony, pada więc na kolana i jęczy w rozpaczy:

— Przebaczenia, najjaśniejsza pani!... Ja jestem niewinny!.. Ja byłem pewny, że to..

— Wstań! — rzekła doń cesarzowa.

Ale on klęczał przed nią dalej i mówił stłumionym głosem, który łzy dławiły:

— Jeśli serce twe, najjaśniejsza pani, jest tak twarde jak twa...

Nie pozwoliła mu dokończyć, ale powtórzyła łaskawie:

— Wstań! — po chwili zaś dodała z naciskiem — Panie poruczniku!...

Jemu oczy zabłysły radością, czuł, że jest uratowany. Chwycił jej rękę i wpił się w nią wargami, a ona mu nie broniła, powtarzając jeszcze:

— Wstań, panie poruczniku!... Ojczyzna potrzebuje takich dzielnych, jak ty, żołnierzy...

Odtąd pełnił pan porucznik stale tylko nocną służbę w korytarzu wiodącym ku sypialni Maryi Teresy.

I komu wierzyć?

Otrzymaliśmy z Krynicy dwa listy następującej treści:

„Kochana Redakcyo!

Znając bezstronność kochanej Redakcyi, której tyle już daliście dowodów i, jako słaba, a samotna kobieta, mając zawsze zaufanie do *Bociana*, chciałabym otworzyć przed Wami swe serce i użalić się na tutejszych właścicieli pensyonatów, nie znających litości nad biednemi zwłaszcza kuracyuszkami.

Za wszystko każą sobie płacić, za mieszkanie i jedzenie, nawet za światło i to jeszcze jak!... Morzą nas głodem, tłumacząc, że obżarstwo jest grzechem i nie wychodzi nikomu na zdrowie. Wystarczy powiedzieć, że w pensyonacie, w którym ja mieszkam, nie chcą mi dać kompotów, a gospodarz tłumaczy się raz brakiem cukru, drugi raz brakiem owoców. A mnie co to może obchodzić? U nas, we Warszawie, jest wszystkiego dość!

Takiemu galicyjskiemu burżujowi nie imponuje nawet moje wykształcenie szwajcarskie i pyta mnie, czy ono jest identyczne z domowem.

Także coś!

Tych zdzierców, paskarzy i spekulantów powinno się publicznie napiętnować, bo to są zbrodniarze, niegodni by ich święta ziemia nosiła!

Zrób to, drogi mój Boćku, a w drodze powrotnej wstąpię do Krakowa, aby Ci osobiście podziękować, byś się mógł namacalnie przekonać, że nie jestem bynajmniej zbyt wymagającą. Weź biedną męczennicę w swą przemożną opiekę, a zyskasz sobie naszą wdzięczność do grobowej deski, a nawet jeszcze dłużej.

O to cię prosi gorąco
Konwalia Cnotlikiewicz
prywatna.

P. S. Facetów, ale takich w moim guście, brak. Ci co są, to przeważnie niedojdy, nie umiejący liczyć do czterech. Towar prawdziwie wojenny. I cóż nam z nich?... — Pa!...“

Drugi list brzmi:

„Szanowna Redakcyo!

Zanim przystąpię do rzeczy, muszę się pochwalić, że *Bociana* zawsze bardzo chętnie czytuję, gdyż mi to dobrze robi, raz nawet, przed laty siedmiu, kupiłem jeden egzemplarz za dwie szóstki i to dla mojej ś. p. teściowej. Wydatku tego bynajmniej nie żałuję, babsko zaśmiało się na śmierć i przeniosło do lepszego życia.

A teraz rżnę odrazu w sam środek, bo ja już jestem taki! Może to poświadczyć moja Kundzia, z którą żyję przykładnie w sakramencie od lat przeszło trzydziestu i nigdy dotąd nie dałem Jej powodu do narzekań, wypełniając gorliwie co do mnie należy.

Trzeba Wam wiedzieć że mam w Krynicy willę, a w niej pensyonat, który prowadzę, niech mnie szlag trafi, jeżeli łżę, nie dla zysku, ale dla wygody bliźnich.

Tego roku jest wszędzie drogo, więc i w Krynicy, ja jednak kontentuję się stu koronami dziennie od osoby, choć są tacy, którzy daliby i dwieście.

Ale ja mam serce miękkie, jak wosk, co może także potwierdzić moja Kundzia.

Co jednak wyprawiają z nami kuracyuszki, to doprawdy przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie! Czego im się nie zachciewa! Chciałyby kompotów, gdy ja jestem zadowolony, jeśli mam pęcak i chciałbym, aby i oni byli tak mało wymagający, jak ja, bo dopiero wtedy będzie dobrze na świecie. A one mają takie zachcianki, że człowiekowi się wydaje. iż każda jest w odmiennym stanie! Powiadam, że jesteśmy męczennikami!

A jaki mają apetyt! Zjadłyby człowieka z kopytami, choć im tłumoczę, że to i grzech i niezdrowo, a one podobno przyjechały szukać zdrowia.

Ale tak nie jest!... Ja to wiem!... Im w głowie co innego, choć głowa z tem nic nie ma wspólnego. I to się musi napiętnować, a nikt tego nie zrobi tak bezstronnie, ja Ty, obrońco uciśnionych, muszących się dość napocić zanim się zbierze tyle grosza, aby potem na cały rok wystarczyło na dostatnie życie.

W nadziei, że tak się stanie, obiecuję solennie zakupić jeden egzemplarz tego numeru, w którym będzie nasza obrona i polecając siebie i swój pensyonat łaskawym względom, pozostaję
z szacunkiem
Kasper Drzyłyko Skórozdzierski“.

Bohater.

Do kraju z Francyi wrócił druh
I jął narzekać niby zuch:
Na gorzki los, na znój i ból,
Na ciężkie boje żądła kul.
Kłamał, jak z nut, że walczył wciąż,
Kąsając wroga niby wąż,
Wojując z Niemcem cztery lat,
Co mu rodzinną ziemię kradł.
Że siedział w sztabie gołoptuś nasz
W Paryżu i z dziewuszkami pełnił straż,
Wiedziała o tem Helcia już,
Że narzeczony zwykły tchórz.
„Heluś, daj usta, krzyknie, daj!
Za moje męki zrób mi raj,
Za dzień w okopach — całuj raz,
Za patrol trzy, za atak cztery dasz,
Za drutów cięcie — osiem chcę,
Za bomby rzut — dasz dziesięć mnie!“
Spoci się licząc łakomy chłop,
Naliczył cmokań cały snop:
Więc za ataki tysięcy sześć,
Trzy za granaty chciałby zjeść,
Tysięcy siedm za strzały z dział,
Za gazy znowuż stówkę chciał.
Gdy tak wylicza czelny gość,
Cnotliwa Helcia krzyknie: „dość!“
I powie: „Tysięcy z górą setkę dam,
Zawiodę cię do raju bram,
Rozkosz z ust moich będzie pić
Ten, który umiał wroga bić.
Lecz pan, co w wojnie tchórzem był,
I miast wojować, uciekł wtył,
Ten, co na tyłach armii był
Nie w buzię cmoknie mnie, lecz w tył...
Wujot.

Ostrożna.

(Rzecz dzieje się na dworcu kolejowym).

— Kochani państwo do Zakopanego?

— Tak! Tam spędzamy co roku całe wakacye!... Tym razem jedziemy tylko na czas krótki, gdyż się boję, aby nam, wobec czujności policyi, nie okradziono mieszkania... Kupiłam też dla siebie bilet powrotny, gdyż to taniej wypada!

— A dla męża?

— Dla niego nie!... To zapalony taternik, cały dzień włóczy się tylko po górach. Gdyby tak, czego jednak nie daj Boże, zdarzyło się jakie nieszczęście, zmarnowałby się bilet, a dziś już takie czasy, że się człowiek musi liczyć z każdym centem!

— Ma kochana pani zupełną racyę!... I ja nie zrobiłabym inaczej, będąc na pani miejscu, ale, niestety, mój biedaczek przeniósł się już do wieczności...

Przeczucie.

Na łożu boleści spoczywał pan baron, w sąsiednim pokoju odbywała się rada lekarzy, których zaproszono na konsylium.

Słysząc ich podniesione głosy, rzekł baron do otoczenia:

— Czuję, że zbliża się moja ostatnia godzina!

Starano się go przekonać, że stan jego nie jest tak znów beznadziejny, jak mu się wydaje, ale on trwał przy swojem.

— Zresztą — dodał — przepowiadała mi przed laty stara cyganka, że powodem mej śmierci będzie sprzeczka...

I wzrokiem wskazał na pokój, gdzie się narada odbywała...

Przy konfesyonale.

— Od ojca Jezuity przy ostatniej spowiedzi nie otrzymałam rozgrzeszenia! — wyznaje penitentka z pokorą Bernardynowi.

— A dlaczego? — ten pyta.

— Bo pozwoliłam się narzeczonema pocałować przed ślubem!

A Bernardyn na to:

— Kto widział z takimi rzeczami chodzić do Jezuity?... Co oni rozumieją się na kochaniu?...



— Idź pan już! Mego męża tylko co nie widać!

— Bądź spokojna! On siedzi u mojej żony i nie lubi się spieszyć!



— Czy pani dzisiaj bierze te czarne reformy?

— Tak jest!... Idę do pana Władysława, któremu niedawno żona umarła. Chcę mu tą żałobą okazać współczucie!



— Bój się Boga! Tysiąc koron za pół godzinki.

— Ciężkie czasy, mój drogi! Przed wojną mógłbyś zostać dwie godziny!



Z ludowych motywów.

Sciskała się pod płotem
Kołysała zaś potem!



— No i jak wyglądam w tym kostyumie?

— Jak wyglądasz? Wyglądasz z niego wszystkimi swymi wdziękami!



— Czy ta panna biurowa długo pracuje u ciebie?

— Dziewiąty miesiąc! Dlatego też muszę się już postarać o inną!





Ona: Ten niedostatek życie mi obrzydza.

On (urzędnik): Patrz odważnie w przyszłość! Gdy zaawansuję, kupię ci nowe żelazko do fryzowania i podwiązki!



— Czegóżeś taki skonany, mój drogi?

— Grałem całą noc w karty i przekonałem się, jak trafne są nasze przysłowia.

— Acha! Pech w kartach, szczęście w miłości!

— O, nie!... Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek!

Ferdek Eleuteryk.



Do rady przybocznyj aprowizacyjnyj pana pryzydenta rozszyrzonygo Krakowa nie zostałem wybrany, a to z tygo powodu, że nie jestem się paskarstwem trudniący, a po drugie ponieważ takij rady nie ustanowili, jako iż jest już zupełnie niepotrzebna. Nie dlatygo jednak, jakoby konjoktury były pomyślnijsze, ino z tyj przyczyny, że naród się już nauczył być obchodzącym bez jedzynia i bez pijaństwa a niedługo czekać, a ujrzymy na własne swoje kapowidła chłopów i brzany ino z listkami figowymi, a bez wszelkij innyj przyodziwy. Na zime bedom musiały być listki watowane, aby się nie przeziębić, bo teraz nawet i chorować się nie opłaci.

Godali i grypsali, że niech się ino skończy wojna, zaroz bedzie klawij, a tu nijak sie tygo doczekać. A byłby już czas, by po pińciu chudych latach nastały dla nas bodaj ze trzy tłuste. Chudnąć mogą dla odmiany ci, którym na wojnie wyrosły takie kantyny, że nimogą dopiąć nie tylko kamizoli, ale i tyj części garderoby, o któryj sie powinno mówić w damskim towarzystwie: „z przeproszyniem".

Przeciętny zaś preletaryusz, tak inteligentny, jak i nie inteligentny, jest tymczasem biedę klepiący i końca z końcem związać nie mogący, bo ani co w jadaczkę wrazić (cheba palec!...), ani czem popić, ani w co się odziać.

Wystarczy powiedzieć, że zwykła dziura w z przeproszyniem portugaliach kosztuje pińdziesiont koron, jedna nogawica sto, a całe „stany zjednoczone" nawet i pińćset!

I chcij sie tu bawić w aliganta i mij tu, jak dawny wiceprzydent Rady Szkolnyj, Dembowski, ośmnaście par niewymownych!

To dziś prawdziwy majątek, a takich szczęśliwców jest bardzo mało, większość przyświca narodowi wytartymi łokciami, kolanami i .. podniebieniem.

Ale niech przypadkiem kto nie bedzie myślący, że tak źle wiedzie się wszystkim... Broń Boże!... Są jeszcze ludzie, którzy nie są wiedzący, co mają być z hopami robiący i oni to tworzą ogon pod kasą tyjatru, jako wieldzy znawcy od śtuki, gdy my tymczasem jesteśmy wzdychający do śtuki, ale minsa z jakim fajnym sosem lub ogórkiem!...

W tym mijscu wolno się kuždymu Czytelnikowi oblizać, bo to nic nie kosztuje a nawet westchnąć i przypomnieć sobie dawne lata...

Gdyby choć pogoda dopisała, możnaby poknajać na Panińskie Skały, abo na Bilany na grzyby.. Ale pokazuje się, że w niebie leferentem od pogody musi być jakisi gawer z Warsiawy o domowym wykształcyniu, co się nie zno na swoim fachu i ciągiem odkręco kurek od dyszczu, choć mu się mówi, że pogoda potrzebno.

Z powodu onyj niepogody jest się winc w domu siedzoncym i ślinke łykajoncym, bo nie kuždygo stać na to, a tym mnij takigo chudygo literate, jak niby, z przeproszyniem, moja osoba, aby se poknająć do kawiarni i tam coś wsunąć. Na to może se teroz pozwalajoncym być cheba biedroń na koszt tych morgów, jakie mo dostać od rządu na zatkanie jadaczki.

Miołem nadzieję, czyli innemi mówiąc słowami, byłem przy nadziei, że sobie bedę bvt poprawiający, a to przy sposobności nowygo meblowanio gabinetu państwa Paderewskich.

Na ministra mom wszelakie kwalifikacyje, to jest przynależność partyjną do gołyj dymokracyi i domowe wykształcynie, poparte nawet świadectwem szczypionyj ospy i ukończynie z dobrym postępem świmszuli w Parku Krakowskim.

A było mi szystko jedno, od czygo zrobią mnie ministrem, bo właściwie nie znom się na niczym, ale najchentnij to byłbym wzion tekę fajansów po panu Karpińskim.

Sprzontnął mi ją z przed nosa Biliński, ale ja się o to nie jestem gniwajoncy. Niech on se wdepnie w to błoto, w którem karp sie był pluskajoncy, a gdy zrobi porzondek, przyjdzie na mnie kolij. Grunt, aby była pensyja, dyjety i emerytura!...

„Niech żywi nie tracą nadziei..." Tak był jeden poeta (ale nie Bieder!...) grypsajoncy, a że jo jestem tyż żywy, więc chce być przy nadzieji bendący, czego i Szanownym Czytelntkom, zwłaszcza zaś Czytelniczkom z serca życzę... Amen!

Post skryptum Deligaci czescy wyjechali już z Krakowa, choć ugody nie zawarli, bo i poco, skoro im ententa Sląsk już parę kilka razy obiecowała. Na ich cześć urzondziłem kirę u Siapsi. Przyknajali, jak jeden mąż, a frygali i cycali kuždy za dwu. Po bankiecie pokozało się, że brak jednyj łyżki, dwu noży i widelca... Jo ta nikogo nie jestem posondzajoncy, ale kto buchnął, niech sie przyzno, bo Siapsia straśnie skomli i labidzi...

Przytomność umysłu.

Pewien radca policyjny jeszcze z błogosławionych c. k. austryackich czasów, znany karciarz gra znowu w kawiarni z ludźmi, których pierwszy raz widzi, ale nie ostatni raz z pewnością naciągnie.

Nagle jeden z grających zrywa się od stolika i zapominając „z kim ma zaszczyt", krzyczy z oburzeniem:

— Panie radco! widziałem sam! Pan ma w rękawie piątego asa!...

— A cóż? Pan chcesz może, żebym go na stół położył? — odpowiada nie tracąc zimnej krwi radca.

Cenne rady.

Będzieć dobrze, gdyś jest leń.
Chcesz pieniędzy? To się żeń.
Karyery? Chadzaj wstecz,
A nie wiedząc czegoś, przecz.

Wierz w to, że bliźni jest cham,
Śmiało zatem w oczy kłam.
Szkaluj ludzi, plotki kuj,
No i zacnym... w oczy pluj!

Wytłumaczyła.

Po czteroletnim pobycie w kryminale, wraca hucuł do wsi rodzinnej, do swej żony.

W dawnem mieszkaniu jej nie znajduje, sąsiedzi powiadają mu, że jego „żonka" mieszka we własnej zagrodzie...

To mu się w głowie pomieścić nie może, zostawił ją bowiem w biedzie, jak komornicę, ale spieszy we wskazanym kierunku, gdyż mu za nią tęskno...

I zastaje ją w samej rzeczy w nowej chacie, na samym końcu wsi... Powitanie serdeczne, jak po czterech latach przymusowej rozłąki, a potem szereg pytań:

— A czyja to chata?

— Twoja! — odpowiada hucułka, a jemu aż się oczy śmieją z radości.

— A te konie?

— Twoje!

— A krowy?

— Twoje!...

Słucha i uszom swym nie wierzy... Nagle wzrok jego pada na stojącą w kącie izby kołyskę, a w niej kilkumiesięczne dziecko.

— A to dziecko? — pyta ciekawie.

— Byłoby także twoje — ona mu najspokojniej odpowiada — gdybyś nie był łajdakiem i nie siedział w kryminale...

To się wie!

Pan radca cesarski, rozmawiając ze znajomym, a chcąc mu dać do zrozumienia, że cały swój majątek zawdzięcza tylko swej pracy, rzecze:

— Ja, trzeba panu wiedzieć, przyszedłem na świat goły!

A ten na to:

— A co pan myśli, że ja się może w koszuli urodziłem?...

Cygan przy spowiedzi.

Cygana, choć był zatwardziałym grzesznikiem, ruszyło wreszcie sumienie i postanowił się wyspowiadać.

W tym celu poszedł do kościoła i klęknął przy konfesyonale. Ksiądz proboszcz spowiadał właśnie kogo innego, Cygan tymczasem przypominał sobie swe grzechy i rozglądał się ciekawie. Nagle oko jego padło na zegarek, który leżał pod brewiarzem księdza Odezwała się w nim cygańska natura i zegarek znalazł się w jego kieszeni...

Przyszła kolej na niego.

Ze skruszoną miną wyznaje, że ma grzech na sumieniu, ale się wstydzi powiedzieć jaki, zresztą, boi się, aby go ksiądz z ambony potem nie „publikował".

— To, co tu powiesz, to święta tajemnica! — tłumaczył ksiądz — Z chwilą, gdy opuszczę konfesyonał, zapominam o tem, co tu słyszałem... Język uciętoby mi, gdybym pisnął słowo!

— Ukradłem zegarek! — wyznaje wreszcie Cygan.

— To źle!... Trzeba go zwrócić!

— Ja go oddam księdzu proboszczowi...

— Nie!... Ja go nie przyjmę!... Sam się postaraj, aby się znalazł u właściciela.

Uspokojony, odszedł Cygan, ksiądz zaś dalej spowiadał. Wreszcie chce opuścić konfesyonał i przekonuje się, że zegarka niema, równocześnie zaś przypomina sobie wyznanie Cygana.

Idzie więc po kościele, rozglądając się za nim i widzi go klęczącego w kącie, pogrążonego w modlitwie.

Zbliża się więc i powiada:

— Gdzie zegarek?... Dawaj go!

A ten na to:

— Tu nie konfesyonał!... Ej!... Bo jegomości urzną język!...

Innym znów razem spowiada się ten sam Cygan i na pierwszem miejscu w całej litanii swych grzechów umieszcza, że wyprzedł wilki z kościoła a świnię z księżej kapusty, za co otrzymuje nie tylko rozgrzeszenie, ale i pochwałę, choć nie starał się podać bliższych szczegółów.

Ale wnet się wszystko wyjaśniło.

Gdy ksiądz wrócił na plebanię, dowiedział się ku swemu ogromnemu oburzeniu, że ktoś, korzystając z chwilowej nieobecności gospodyni, dostał się do kuchni i z garnka z kapustą, stojącego na piecu, skradł przeszło kilo wędzonki. Równocześnie zniknęło wilcze futro księdza proboszcza, które wisiało w zakrystyi.

Ponieważ w tym czasie widziano Cygana kręcącego się w pobliżu, nie ulegało żadnej wątpliwości, kto dopuścił się kradzieży...

Ale o nim już dawno słuch zaginął!

To i owo.

Co się znajduje na całym świecie?

Półświatek.

Dlaczego interesa kobiece mało mają kredytu?

Bo zaraz ogłaszają upadłość.

Krótko i węzłowato.

— Co pański synalek robi w mieście?

— Długi.

I to prawda

Pastor zachorował, w czynnościach urzędowych zastępował go więc miejscowy grabarz, który był zarazem i kościelnym.

Miał się odbyć pogrzeb małego dziecka, grabarz odmówił więc przepisane modły, ale nie wygłosił zwykłej w takim wypadku u ewangelików mowy.

Po pogrzebie, ojciec dziecka zwraca się do grabarza z wymówkę z tego powodu, ten mu zaś odpowiada:

— Mój panie!... Trzeba było powiedzieć, że sobie pan życzy!... Zresztą takie małe dziecko z pewnością nie zrozumiałoby jej wcale! Szkoda więc mego trudu, a pańskich pieniędzy.

I widocznie go przekonał, stroskany ojciec odszedł bowiem ze słowami na ustach:

— I to prawda!...

Z listów Hermogenesa Klapy.

Warszawa.

Najukochańsza Redakcyo!

Człowiek strzela często nawet i bez prochu, a... kulawy kuje nosi (ale nie na kręgielni!...). Ja tam stosunkowo bardzo rzadko strzelam, gdyż jestem żołądkowo zrównoważony, tak się jednak okoliczności złożyły, że zupełnie niespodzianie znalazłem się nad umiędzynarodowioną Wisłą, to jest we Warszawie, a stąd, zupełnie *incognito* zrobiłem wycieczkę do Krakowa. A rzecz tak się ma cała.

Onegdaj odwiedził mnie w hotelu sam Wilson i tak do mnie powiada:

— Słuchaj, kuzynie!... Trzeba, abyś pojechał do Warszawy i tam ułatwił senatorowi Morgenthauowi bezstronne zbadanie na miejscu kwestyi żydowskiej w Polsce. Nie zawadziłoby także, byś po drodze wstąpił i do Krakowa, gdzie się odbywają konferencye polsko-czeskie.

Przyznam się, że wielkiej ochoty do tego nie miałem, gdyż podróżowanie nie należy dziś do przyjemności, ale cóż było robić, skoro sytuacya tego wymaga... Próbowałem się tłumaczyć, że moja obecność konieczną jest w Paryżu, gdzie ważą się nasze losy, Wilson mię jednak uspokoił słowami:

— O to niech cię głowa nie boli!... Co się ma stać, stanie się i bez ciebie. Są tu tacy, którzy o was nie zapominają — i pokazał swoim własnym palcem na samego siebie. — Zresztą bawi tu Kasper Krupa, a wiesz chyba, że każdy Krupa, to genialny polityk!... On cię w razie potrzeby zastąpi!

Sprzeciwić się nie było można, a nawet nie wypadało, że on opozycyi nie znosi. Zapakowałem więc do pudełka z cygar, zastępującego mi w podróży kufer, dwa kołnierzyki i parę mankietów i wybrałem się w drogę. Nie zapomniałem naturalnie o parasolu i kaloszach, bo słyszałem, że u Was ciągła niepogoda.

Choć polityk pierwszej wody, a tacy dziś podróżują stale z żonami, pojechałem sam, ale tylko z tego powodu, ponieważ w młodym wieku zapomniałem się ożenić, a dziś na to już zapóźno!... Do małżeństwa, zwłaszcza cudzego miałem zawsze wielką skłonność i raz nawet, ale to już bardzo dawne czasy, niewiele brakowało, a byłby mi kości połamał pewien mąż, któremu w wolnych od zajęcia chwilach pomagałem zupełnie bezinteresownie dmuchać w ognisko rodzinne.

Chciała mi wprawdzie towarzyszyć jedna z mych paryskich przyjaciółek, ale jej podziękowałem, wychodząc z zasady, iż podróż jest tem swobodniejszą i wygodniejszą, im się mniej ma z sobą tłumoków.

Do Warszawy przybyłem szczęśliwie i zaraz zgłosiłem się u pana senatora, który już był zawiadomiony o mym przyjeździe.

Znamy się z Paryża, gdzie bawił niedawno, aby odebrać instrukcye i ubezpieczyć od wypadku. Powiedziano mu bowiem, że Polacy to taki niekulturalny naród, iż z zupełnie zimną krwią rzną nie tylko żydów, ale i żydówki.

Jest to bardzo poważny mężczyzna o wschodnich rysach, gdyż rodzina jego pochodzi z Berdyczowa. Jest nawet spokrewniony z naszym Priłuckim. Choć Amerykanin, nosi się po europejsku, a przy rozmowie gestykuluje obu rękami, słuchając zaś, gdy kto inny mówi, zakłada wielkie palce za kamizelkę. W ztromlu, bekieszy i patynkach, wyglądałby bardzo malowniczo.

Z mojego przybycia ogromnie się ucieszył i ponieważ to był piątek wieczór, zaprosił mnie na rybkę po żydowsku, która mi bardzo smakowała. Wierny amerykańskiemu zakazowi, szabasówki nie pija.

Oświadczył mi, że kwestya żydowska nie przedstawia się tak strasznie, jak go uprzedzono, z czego jest bardzo zadowolony. Przesłuchał już osobiście kilkadziesiąt ofiar pogromów i to tak zabitych, jak i poszkodowanych materyalnie, ale chciałby koniecznie widzieć na swoje własne oczy, jak taki „pogrom" wygląda.

Oświadczyłem mu, że na żądanie można coś podobnego zainscenizować i porobić z tego zdjęcia kinematograficzne ale koszta urządzenia musiałby przyjąć na siebie. Zażądał czasu do namysłu.

Ponieważ stosunków Warszawy nie znam tak dokładnie, zaproponowałem mu, aby bodaj na jeden dzień pojechał ze mną do Krakowa, ale zupełnie *incognito*.

Zgodził się na to i zaraz po szabasie wybraliśmy się w drogę, zaopatrzywszy się, dla usunięcia podejrzeń, w całe kilo szynki, którą jedliśmy ostentacyjnie w ciągu podróży.

Do Krakowa przybyliśmy w niedzielę rano. Z dworca kolejowego odwiozłem go tramwajem na Rynek i tu przeprowadziłem główną halą Sukiennic, gdzie się znajduje nieustająca wystawa kazimierskich piękności. Był do łez wzruszony, widząc na każdym kroku tylu swych współwyznawców.

— A gdzie są ci pomordowani podczas pogromów? — pytał ciekawie.

— Cierpliwości, kochany radco! — ja mu na to — Na wszystko przyjdzie kolej!.. To dopiero początek!

— Co pan mówi?... Jak dotąd, widziałem przecież prawie same sklepy żydowskie!

Z Sukiennic poprowadziłem go na „czarną giełdę", gdzie mu przedstawiłem rodzinę Hirschsprungów, stąd zaś Grodzką i Stradomiem udaliśmy się na drugą giełdę u wylotu ulicy Bożego Ciała.

Wzruszenie jego rosło z każdym krokiem, rozrzewnienie malowało się w oczach.

— Czuję się tutaj, jak u siebie w domu. — mówił — Ale, gdzie te nieszczęśliwe ofiary, które pomordowano w czasie ostatnich pogromów... Chciałbym bodaj łzę uronić na ich grobie!

— To będzie trudno! — odpowiedziałem.

— Dlaczego?

— Bo ich jeszcze nie pogrzebano!

— Jakto?... Do tego czasu?... A to z jakiego powodu?

— Bo cieszą się jak najlepszem zdrowiem!...

U Spatza zjedliśmy gęsi pipik i wypili po kusztyczku miodu. Do naszego stołu podchodziło kilku „neutralnych", chcąc nawiązać rozmowę i dowiedzieć się, „w czem też robimy". Gdym im powiedział, że w polityce, każdy się tylko skrzywił i odpowiedział:

— To z przeproszeniem nie jest żaden interes!... A może panowie kupią co odemnie?.. U mnie można dostać wszystko, co kto potrzebuje!

— Wątpię! — ja mu na to.

— Jest i „wątpię" i to w bardzo dobrym gatunku!... Mogę przynieść próbki!...

Popołudniu zaprowadziłem senatora na plantacye i wskazałem mu ową mniejszość narodową, która zajmuje już prawie wszystkie ławki. Towarzystwo zebrane w Esplanadzie, w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach „neutralne" ogromnie mu przypadło do gustu, to samo powtórzyło się u Drobnera, potem zaś w teatrze, gdzie się również czuł, „jak u siebie w domu".

Słysząc na każdym kroku niefrasobliwe rozmowy swych współwyznawców o interesach, sypanie tysiącami i milionami, trącił mnie w bok i rzecze:

— Dalibóg!... Panie Klapa!... I mnie zbiera ochota... A możeby tak zrobić jaki mały interesik?...

— Nie wypada, senatorze. — odrzekłem — Jesteśmy tutaj przecież w misyi politycznej!

— Głupstwo!... Misya misyą, a interes interesem! Nie tak prędko nadarzy się znowu sposobność!...

Z teatru udaliśmy się bezpośrednio na dworzec, gdzie również natrafiliśmy na samych prawie „neutralnych". Z trudem udało się nam zdobyć miejsce na platformie, gdyż wagony były pełne, a wszędzie mówiono tylko o interesach.

— Wie pan, panie Klapa — rzekł do mnie pan senator w czasie podróży powrotnej — że spotkało mnie przyjemne rozczarowanie... Teraz dopiero mogę sobie wyobrazić, jak ma właściwie wyglądać nasza ziemia obiecana i bynajmniej się nie dziwię, że moi współwyznawcy nie mają ochoty wybrać się do Palestyny... Kto wie, czy i ja nie przeniosę się na stały pobyt nad Wisłę, gdyż mi się u was podoba... Niema to, jak należeć do mniejszości...

— Ale nie w Ameryce! — dorzuciłem, przypominając sobie losy Murzynów.

Co dalej nastąpiło, o tem już w następnym liście. *Au revoir!*

Klapa.

List krakowskiej chórzystki do lwowskiej koleżanki.

Droga Maniu Siu!

Rozszarpią nas kruki, wrony! Rozszarpią nas dyrektorzy teatrów, którzy konkurują o nasze osoby, rozumie się nie w celu zawarcia sakramentu małżeństwa, tylko kontraktu teatralnego. Więc rozumiesię, że trzymamy się ostro, zwłaszcza chórzystki i ciało kordebaletowe. Dzisiaj każda chórzystka ceni się nalezycie i niżej 1000 koron — żadne takie! Chórzystki, jak wiadomo potrzebują mieć ładną figurę, nogę i resztę co tam jest, a jak umie śpiewać to nic nie szkodzi. I takie się przydadzą! A więc dyrektorzy łapią wszystko co jest na placu, bo każda ma uzasadnione pretensye. Jedna ma dziecko od niewiadomego ojca, druga kulawą matkę, która nie może rękami zarabiać, trzeciej puściła się stara ciotka i nic nie chce o rodzinie wiedzieć. Więc wszystkie te panienki muszą żyć i w tym celu wstępują w związki teatralne. „Bagatela" jest już gotowa i, budynek ma na froncie cyfrę R. P. Sądziłam, że to znaczy „Rappoport", ale inni mówią, że to jest „Requiescat in pace". Ja myślę, że tak źle nie będzie skoro „Bagatela" ma tak wybitnych artystów jak panna Czajkowska i pan Bystrzyński. Nie bagatelizujmy więc „Bagateli".

W teatrze powszechnym urządzają w braku innego zajęcia polowanie na „Skowronka", ale o tem to Ci droga Siu! wkiedyindziej napiszę. Co się tyczy z Teatrem Powszechnym, to Dyrekcya nosi się z zamiarem zmienienia po raz trzeci nazwy jego na „*Archeologiczny*" i do tej firmy dostosuje także repertoar. Ujrzymy więc szanowną „*Księżniczkę Trebizondy*", „*Orfeusza w Piekle*", „*Boccacio*" i „*Nitouche*", a potem znowu „*Orfeusza*". Wszystkie te muzyczne numizmaty razem z Lelewiczem i Zimajerką liczą do kupy 825 lat. Wkrótce również należy „*Berka zapieczętowanego*" i „*Młyn dyabelski*". Mnie się zdaje jednak, że rozpoczną on sezon „*Nad przepaścią*" a skończą „*W ruinach*". Ale co tam! Magistrat ma hopy, to niech buli! A Dyrekcya niech się bawi! Podobno ma w tem kierunku być impertynelacya na Radę miejską wniesiona, bo proszę ja ciebie kochana Siu! Teatr nie jest rupieciarnią, chociaż tam się rozchodzi więcej o pokazanie trykotów na scenie w „*Orfeuszu*" i „*Nituszce*". Z drugiej jednak strony co oni włożą do tych trykotów, kiedy ardestki są chude, a łydki ich — jak to mówią, przeszły już do tradecyi. W tej myśli też całuję Ja cię serdecznie droga Siu!... Kocham cię zawsze a i ty kochaj mie wisawi

Tfoja

Helu-Sia!

Właściciel i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



— Cnota, moja córko, to wielki kapitał!

— Ja też ją rozpożyczam za umiarkowanym procentem!